№ 29. Warszawa, dnia (4) 16 Lipca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50

Z Krakowa.

Na dzień 26 Czerwca przypadła w tem mieście uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza.

Zjazd gości dalszych i bliższych był bardzo znaczny. Zaprzyjaźnione z nami dzięki pewnym wewnętrznym konjunkturom monarchii austryackiej Czechy, wysłały deputacyę, a poza deputacyą przybyli na obchód nasz: poeta Jarosław Vrchlicki, Fr. Kwapil, wiceprezydent Pragi dr. Srb, posłowie: Horzica, Herold i wielu innych. Licznie bardzo reprezentowany był dygnitaryat prowincyi, nie brakło żywiołu swojskiego, w części przepływającego zazwyczaj w tej porze przez Kraków, w części przybyłego umyślnie dla przyjęcia udziału w uroczystości. Z Warszawy miał Kraków kilkunastu ludzi pióra i kilku redaktorów pism; ci którzy się stawić nie mogli osobiście, przysłali wieńce na dowód współudziału. Nadto świadkami byli odsłonięcia pomnika profesor Włodzimierz Spasowicz z Petersburga, przybyły wraz z dr. Brandtem profesorem z Moskwy.

Kraków przygotowywał się oddawna na ten obchód, i wystąpił w istocie odpowiednio do ważności chwili. Miasto świętowało, ludność wszystkich warstw społecznych, korporacye, cechy, młodzież, lud — wszystko to stanęło dla oddania hołdu pamięci wielkiego obywatela i wielkiego poety, tak jak to można było spodziewać się od grodu starego, cieszącego się oprócz godnej uznania gotowości, i pewną jeszcze specyalną techniką do urządzania uroczystości i festynów.

Pierwszy przemawiał marszałek krajowy hr. Badeni. Słowa jego przygłuszyło oczywiście wrażenie potężne, jakie się udzieliło zebranym na trybunach i na placu samym, gdy na skinienie mówcy, oddającego zarządowi miasta pomnik nowowzniesiony, opadły zasłony i ukazała się oczom obecnych postać tego, dla którego zebrały się w tych dniach zdala i zblizka zgromadzone tłumy. Nikt tam już nie myślał w tej chwili o artystycznej doskonałości dzieła sztuki rzeźbiarskiej, nikt nie przypominał sobie minionego marudztwa wieloletniego, każdy odczuwał natomiast podniosłość faktu samego, i to jest wzgląd arcyważny, o którym wiedzieć i do którego dostrajać się winny w działalności swojej wszystkie techniczne i nietechniczne wybierane ad hoc komitety pomnikowe.

Kwestya perfekcyi pomysłu, i kunsztu wykonania zchodzi w takich momentach uroczystych na plan dalszy. Pozostaje jedynie widomą sława niespożyta tego, który zdołał przeżyć samego siebie w sercach potomności, a poza nią tylko sama ta potomność wzruszona — pełna uczucia wdzięczności, — poważna, zadumana, dumna ze swego wybrańca przed sobą i przed światem.

Po marszałku krajowym zabrał głos p. Friedlein prezydent miasta, który w przemówieniu swojem składał podziękowania: młodzieży, która podjęła inicyatywę pomnika, ogółowi za jego hojną ofiarność, wreszcie marszałkowi za czynne poparcie użyczone sprawie pomnika, a komitetowi za jego pracę i wytrwanie.

O ile tamte dwa przemówienia poprzednie uważać można jako przeważnie formalistyczne, o tyle rzecz, którą teraz wygłosił prezes Akademii Umiejętności Stanisław hr. Tarnowski, stanowiła punkt ciężkości momentu, a zarazem godną prawdziwie illustracyę obrzędu; z pewnością zaliczoną ona będzie do rzędu arcydzieł naszej sztuki krasomówczej. Publiczność nie zawsze daje pierwszeństwo należne duchowi przed formą, niezawsze też trafnie odróżnia świetność szaty zewnętrznej od istoty rzeczy, ztąd częste nieporozumienia—ztąd różnica zdań i opinii, gdy idzie o doniosłość i wartość retoryki. Tym razem jednak najjednomyślniejszym jest sąd, iż znakomity rzecznik do znanego mistrzowstwa słowa dołączył treść wyjątkowego bogactwa myśli — tym razem hr. Tarnowski nie miał między słuchaczami swymi wpółzadowolonych, nie miał takich, którychby słowo jego pozostawiło chłodnymi. Byli tylko entuzyaści szczerzy, a pozostali tylko wdzięczni.

Po przedstawicielu nauki i rodowitości przemówił młody poseł ludowy Bojko. Niechajże nastrój ogólny — niechaj wrażenie powszechne, jakiem przyjęto następstwo po sobie tych dwóch głosów z dwóch krańców społeczności, będzie tłómaczem wewnętrznego ich znaczenia i siły ich wzajemnie dopełniającej się w ogólnym akordzie. Świetny stylista, doskonały dyalektyk, niezrównany między współczesnymi szafarz efektów w najdoskonalszym smaku, nierzucił cienia swoją potęgą na skromnego rzecznika siły zbiorowej, wstępującej dopiero w życie publiczne. Proste słowa, myśli poczerpnięte ze spuścizny genialnego wieszcza, uczucie szczere, trafiły do serc obecnych, mimo tego, że praktycznie rzecz biorąc, nielada trudności miał do pokonania poseł Bojko w przemówieniu swojem: „Miej serce i patrzaj w serca" jeszcze raz święciło tutaj swój tryumf niezaprzeczony.

Ostatnimi dopuszczeni byli do głosu najmłodsi. Przedstawiciel ich student uniwersytetu Jagiellońskiego Szukiewicz, znany zresztą między swoimi jako posiadający wyjątkową łatwość wypowiedzenia myśli, przyniósł ze sobą natchnienie młodości, jej siłę, entuzyazm, a więc otuchę tak pożądaną i tak pocieszającą zawsze i wszędzie. Kwiaty, które teraz po zakończeniu tego ostatniego przemówienia sypać się zaczęły zewsząd do stóp pomnika, najwymowniej zlały się z tym hołdem serc młodych, przynoszących prawdziwe kwiaty uczuć jako dar dla jednego ze swoich najpierwszych.

Wielkie trybuny wzniesione obok kościoła Panny Maryi frontem do rynku, zapełnione

były przez osoby zaproszone. Na trybunie honorowej znajdowali się: ksiądz biskup krakowski z duchowieństwem, władze krajowe z marszałkiem krajowym na czele, przedstawiciele miast i poszczególnych delegacyi, posłowie, senat akademicki wraz z rektorem, lwowskie ciało uniwersyteckie, politechnika tamtejsza, wreszcie osoby wybitniejsze z pośród mieszkańców miasta, przedstawiciele władz państwowych i goście zaproszeni. Tam też zajęli miejsca swoje p. Władysław Mickiewicz i pani Gorecka

Poza pomnikiem na wielkiej estradzie chóry śpiewacze, które przed rozpoczęciem uroczystości wykonały wielką kantatę. Wymienieni powyżej mówcy przemawiali ze wzniesionej na ten cel ozdobnej katedry, znajdującej się po prawej stronie pomnika, którą otaczali przedstawiciele delegacyi i mistrze ceremonii z posłem Weiglem na czele.

Uroczystości dnia tego zakończyło widowisko w teatrze. Na program jego składała się muzyka i deklamacya. Koncert rozpoczął uroczysty marsz Żeleńskiego: „Oda do młodości" pod dyrekcyą kompozytora wykonany. Po nim wyjątki z „Sonetów krymskich" i „Dziadów" Moniuszki. Solo produkowali się: p. Władysława Jezierska i p. Gabryel Górski. Kotarbiński wywołał nieposlednie wrażenie swoją deklamacyą z „Dziadów." Zakończyła przedstawienie konkursowa kantata Tadeusza Pokornego (pseudonim) do słów p. Lucyana Rydla wykonana przez połączone chóry krakowskie i lwowskie.

Drugi dzień 27 Czerwca rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele Panny Maryi odprawionem o godzinie 9 rano przed głównym ołtarzem przez księdza biskupa krakowskiego księcia Puzynę; w presbyteryum pomieściły się osoby zaproszone. Nabożeństwo zakończyła piękna mowa księdza dr. Pelczara.

Zaraz po nabożeństwie ruszył pochód cały na Wawel. Otwierała go straż ochotnicza miejska, lwowska i innych miast większych prowincyi; za nimi postępowały szkoły ze zwierzchnościami swemi prowadzone przez muzykę z Bochni. Następnie dzieci włościańskie niosły wieniec, to wszystko w białych sukmanach i krakuskach, seminarya nauczycielskie męzkie, i deputacya Towarzystwa szkoły ludowej z wieńcem. Osobną grupę stanowił lud wiejski, którego każda deputacya gminna niosła osobny wieniec. Za ludem orkiestra złożona z małych chłopców zakładu sierot ks. Lubomirskiego, następnie dziatwa Towarzystwa Dobroczynności. W dalszym ciągu pochodu niosły wieńce swoje: gimnazya żeńskie, młodzież politechniki lwowskiej, młodzież uniwersytecka lwowska, deputacya stowarzyszenia wiedeńskiego „Ognisko," szkoła sztuk pięknych, Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych dla kobiet, czytelnia ludowa, związek katolickich stowarzyszeń robotniczych, stowarzyszenie służby dworskiej, czeladź piekarska, stowarzyszenie malarzy, czytelnia wzajemnej pomocy robotników kolejowych, i stowarzyszenie katolickie młodzieży rękodzielniczej.

Poza tamtą otwiera nową grupę orkiestra „Harmonia," młodzież uniwersytetu krakowskiego, szkoła rolnicza w Czernichowie, wyższe szkoły krakowskie: przemysłowa i handlowa, stowarzyszenie akademickie: Jagellonia, deputacya pracowników drukarni „Czasu," koło mieszczańskie, kongregacya kupiecka, stowarzyszenie młodzieży handlowej katolickiej, Towarzystwo techniczne, księgarze polscy, stowarzyszenie drukarzy i litografów, introligatorów, korporacya fryzyerów, związek naukowy i literacki Lwowa, Towarzystwo imienia Mickiewicza lwowskie, stowarzyszenie kandydatów adwokackich, czeska „Beseda" w Krakowie, deputacya ludu szlązkiego z Kobrianem na czele, i redakcya „Katolika" w Bytomiu.

Wiele, bardzo jeszcze wiele, grup i korporacyi zmuszeni jesteśmy pominąć w sprawozdaniu naszem, wspomnieć nam tylko wypadnie, że pochód szedł okrążywszy rynek ulicą Grodzką przez udekorowane miasto, i z tej strony dostał się na Wawel. We wnętrzu katedry nie mogli się oczywiście pomieścić naraz wszyscy, więc weszła akademia umiejętności, uniwersytet Jagielloński i rada miasta, a do sarkofagu syn i córka zmarłego poety. Za nimi schodziły kolejno deputacye dla złożenia wieńców srebrnych. Podczas tego chór lutni lwowskiej śpiewał u wrót katedry. Przy złożeniu wieńca deputacyi czeskiej, przemawiał jeszcze krótko wiceburmistrz Pragi Srb, wyrażając hołd dla pamięci wieszcza imieniem swoich. Pochód wracał tą samą drogą, składając teraz u stóp pomnika wieńce kwiatowe.

Na tem zakończyły się właściwe uroczystości Mickiewiczowskiego obchodu. Sprawozdania regestrują jeszcze wiele bardzo szczegółów z dwudniowego, nieprzerwanego prawie festynu, przy którym zebrani w różnych miejscach uczestnicy tych pamiętnych dni, święcili je mowami, toastami, więcej lub mniej zastosowanymi do okoliczności. Zmuszeni jesteśmy pozbawić was czytelnicy tej całej części, raz dlatego, że wogóle zdaniem naszem ten sposób oddawania czci pamięci zmarłych zawsze nam był i jest dotąd szczególnie nie po myśli, a nadto że są i powody specyalne, dla których tym razem biesiadowanie połączone z tym obchodem było osobliwie rażącym rozdźwiękiem w stosunku do chwili, na którą przypadło. Ogłoszenie stanu wyjątkowego w 33 powiatach prowincyi na skutek opłakanego prawdziwie w następstwach roznamiętnienia warstw nieoświeconych, sądy doraźne, i cały groźny aparat sprawiedliwości rozpościerający działalność swoją na większej części kraju, od czego i Kraków nawet wyjętym nie został, wszystko to przyzna każdy, dziwnie się nie nadawało do spełniania wiwatów. I samo jednoczesne zejście się tych dwóch objawów życia, mianowicie: sumarycznych sądów i kar, którémi zagrożone są całe massy ludu i święta jakiegoś narodowego, nie mówiąc już o ucztach i bankietach, chyba ironii losu złego przypisać można. Niechajże przyjmą odpowiedzialność za ten stan rzeczy ci wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do obłąkania mass ciemnych, a odpowiedzialność ta w ostatecznym rezultacie bagatelną nie okaże się z pewnością. Poczekajmy jeszcze na więzienia, procesy, koszta sądowe likwidowane wedle prawa austryackiego,—na wywłaszczenia nieuniknione, a będziemy mogli wyrobić sobie pojęcie o długu wdzięczności zaciągniętym przez społeczność u podszczuwaczy z profesyi. Smutne, bardzo smutne jest to wszystko.

K.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Jakże go tu opatrzę? — rzekła Stasia.— Żeby go gdzie w pokoju umieścić.

— Każę otworzyć szpitalik Dysi! — odparła pani Taida.

Po chwili stara dozorczyni otworzyła im do stancyjek pustych i chłodnych, i bardzo uradowana posłała łóżko, otworzyła okno i szafę apteczną, a przypomniawszy zwyczaje cioci Dysi, podała Stasi uroczyście fartuch i miskę czystej wody.

— Zaraz przyniosę ciepłej, a karbol tu stoi.

A stara Hanna układając na łóżku chorego, rzekła wzdychając:

— Mój ty Boże! Gdzie te czasy, gdy tu nieboszczka jako anioł chodziła, ciało i duszę lecząc! Oj, proszę pani, u Boga ona po prawicy króluje, a my bez niej sieroty!

Milczała i Stasia, i pani Taida, ale obie myślały jedno. Widzenie i zielnik. Tak bo dziwnie się złożyło, że po latach pierwsza Stasia przypasała fartuch, i zajęła w posiadanie szpitalik. A jak prędko i zgrabnie brała się do dzieła, jak lekką miała rękę. Chłop leżał spokojnie, przygotowany na długą operacyę i ból, i aż zdumiał, gdy się podniosła od łóżka, mówiąc:

— Gotowe. Terazby trzeba mu leżeć spokojnie, i dwa razy na dzień opatrunek zmieniać. Pojęcia nie miałam, żeby mogła być rana gorzej utrzymana.

— Zostawcie go tutaj, Hanno!—rzekła pani Taida.

— Proszę pani, pokornie za łaskę dziękuję. Teraz taki czas roboczy. Leży biedaczysko sam w chałupie, nawet mu wody nikt nie poda. Cóż, zostaniesz, Bazyl?

— Oj, mnie byle się nie ruszać. Jak pomyślę nogi spuścić na ziemię, i na wóz się gramolić, to już lepiej skonać odrazu. Daj Boże pani i panience niebo.

A dozorczyni odbierając od Stasi fartuch, i podając jej wody do rąk recytowała uradowana.

— Już ja wiem, panienko. Dobrego rosołku mu trzeba, i ziółek tych oto dać pić. Ja pamiętam jakby mnie wczoraj nieboszczka uczyła. Stancyę wywietrzyć, choremu usłużyć, trochę pogawędzić, a w nocy parę razy wstać. Oj, oj, ja tu obok mieszkam i wszystko wiem! Ale to ludzie gadają, że panienka prawdziwy doktór, to możeby panienka posłuchała mnie w piersiach, i od duszności coś dała.

Odbyła się tedy druga porada. Auskultacyi przyglądała się Bazylowa, dziwując się bezmiernie.

Stasia przejrzawszy apteczkę, dała dozorczyni kropli i wyszła wreszcie.

— Jak się słuch po wsi rozniesie, że szpitalik otwarty, jutro łóżek zabraknie! — rzekła do niej pani Taida z uśmiechem.

A Stasia już porwana zapałem, odparła.

— W takim razie trzeba odnowić i dokompletować aptekę, i trochę narzędzi, choć najniezbędniejszych dostać. Szkoda, że Kazio wyjechał, prosiłabym, żeby mi moje przywiózł, które w Warszawie zostawiłam u znajomych w przejeździe.

— Napisz do znajomych niech ci pocztą wyślą. Za tydzień odbierzesz.

— Napiszę zaraz!

Sprawdziły się słowa pani Taidy. Bazylowa wieść o szpitaliku rozniosła po wsi, i gdy nazajutrz Stasia przyszła opatrzeć chorego, znalazła sień i stancyę dozorczyni zapchaną ludźmi.

Było kilka kobiet z dziećmi, wyrostek zielony od długiej febry, chłop z rozrąbaną ręką, dwóch pacyentów z dysenteryą — cały komplet.

Stasia wróciła ledwie na obiad, cała zajęta swym fachem i wnet natarła na panią Taidę.

— Jak pani przepowiadała, już pełno w szpitaliku, ale teraz z lekarstwami bieda. Nie mam jeszcze prawa podpisywać recept, a w apteczce wszystkiego brakuje.

Zwróciła się do matki.

— Wie mama co. Zmieniłam projekt. Zabieram się kuć egzamin. Co tam! Jeszcze trochę cierpliwości.

— Więc kolega już praktykę rozpoczął! — śmiał się Włodzio.—A wolno będzie pacyentów zobaczyć? A może złożymy małe konsylium, a może razem operacyjkę utniemy. Przeegzaminuję kolegę z łaciny.

— Dobrze! Niech pan przyjdzie po obiedzie!—odparła bez gniewu—owszem rada.

Poszedł Włodzio, obejrzał chorych, wysłuchał jej dyagnozy, podpisał za nią kilka recept, żartował, śmiał się, ale za powrotem rzekł do żony.

— Wiesz. Szalenie bystro obejmuje rzecz; decyduje śmiało i trafnie — jakby zęby na tem zjadła. Nigdym się nie spodziewał, że w głowie kobiecej taki może być ład. Co prawda o tem jednem śni i myśli. To jest dopiero powołanie.

— Pocóż drwisz i ośmieszasz ją bezustannie.

— Ba, żeby zbytnio zarozumienia nie nabrała. A łacinę rznie jak rzepę. Lepiej niż trzeba.

Od tej chwili Stasia znowu stała się dla towarzystwa mytem. Czas wolny od chorych spędzała nad stosami ksiąg, pisząc, ucząc się późno w noc, obojętna na urok wsi i lata, nieobecna myślą przy rozmowie w czasie obiadu, usuwająca się od rozrywek i spacerów.

Gdy Kazio wrócił, opowiedziała mu swe zajęcie, zaprowadziła do chorych, a gdy słuchał i patrzał roztargniony, spytała zdziwiona.

— Co ci? Czyś nie chory! Wydajesz się nie swój.

— Bom też nie swój a czyjś! — odparł z dziwnym uśmiechem.

Zastanowiło ją to powiedzenie, i uśmiech, i przypomniała sobie polecenie pani Taidy.

— Ale, mam z tobą do pomówienia! — rzekła.

— Słucham!

— Ba, kiedy Włodziowie nadchodzą.

— To chodźmy jutro o świcie na kaczki— szepnął.

— Dobrze.

— Przyszlę cię zbudzić!

— Nie trzeba. Skończę pisać, i wcale już spać się nie położę!

— Szkoda ciebie. Takaś znowu mizerna, Staśko! — rzekł jakimś nieswoim tonem, patrząc na nią łagodnie.

— Et, głupstwo! Albo mi to pierwszy raz. Przygotuj mi tylko lekką strzelbę.

Włodziowie nadeszli, i zawrócili wszyscy do domu.

— Cóż! Palimy jutro Sobótkę — spytała Irenka. — Ale i pani z nami pójdzie, panno Stanisławo.

— Po paproć! Dobrze, jeśli nie zasnę, bo jutro do dnia idziemy na kaczki, na błota.

— Winszuję! Pamiętacie kiedyś burę mamy! Co do mnie, wolę oglądać zachód słońca, jak wschód.

Tu zwrócił się do Kazia.

— Powiedz mi, co się z tobą dzieje? Wyglądasz przytomny, ale nie obecny. Pokaż no język? Możeś chory. Muszę ci serce przesłuchać. Coś mi bardzo patrzysz na zakochanego.

— No, a jeśli tak, to co. Przecie mi wolno!

— Ależ wolno, i owszem. Idź do mamy po soliter.

— Niestety, kocham mężatkę, ot tę tam gruszę przy lodowni.

— Za wysoko patrzysz — rozgniewał się Włodzio.

— Ale bo też dokuczasz każdemu! — wtrąciła Irenka—i draźnisz bezustanku.

— Ciebie nigdy!

— Doprawdy! Dwóch słów seryo nigdy od ciebie nie słyszałam.

Stasia uśmiechnęła się, i skręcając na boczny ganek, rzekła półgłosem.

— Warto było po to iść za mąż.

Nazajutrz jeszcze szary był świat, gdy Kazio, ubrany do polowania, obładowany dwoma strzelbami, zapukał do okna Stasi. Otworzyła okno i wyjrzała, jednocześnie składając książkę i gasząc lampę.

Kiwnęła mu głową w milczeniu, by nie zbudzić Ozierskiej w sąsiednim pokoju, i po chwili wyszła na ganek.

— Widzisz, nie zaspałam. Dajno strzelbę.

— Poniosę obie.

— Przecie mi nie będziesz usługiwać. Nie dziwacz.

Odebrała mu broń i pas z ładunkami, i ruszyli przez ogród na łąki.

Świat się czynił srebrny i perłowy, bujna rosa leżała na trawach, wabiły się chruściele i przepiórki, zresztą jeszcze wielka była cisza.

Amik, pokurcz, specyalista od kaczek uwijał się wesoło przed nimi, raz wraz spinając się z wielkiej uciechy na piersi Kazia.

Wtem z pod nóg Stasi porwała się kuropatwa—złożyła się i strzeliła.

— Pudło! — rzekła, gdy ptak zapadł w zboża.

— Przeznaczeniem twojem jest uzdrawiać, a nie uśmiercać!—odparł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SONET.

E pur si...

„I spaliła ci łono gorejąca susza,
„A zawieja ci głowę przypruszyła szrony,
„I runąłeś jak orzeł pod skrzydło trafiony,
„I ledwo ci się krwawa źrenica porusza.

„I wygasł w twojej piersi żar Prometeusza,
„Odwieczny życia oddech, przez nieba natchniony,
„Co odżywiać miał ciepłem niebieskie regiony,
„A tem miał być dla bytu, czem dla ludzi—dusza.

„I przebrzmiał w twojej duszy nieskażony, święty,
„Piorunem grzmiący odgłos słowa Zoroastra,
„I wicher przeznaczenia strącił cię w odmęty,

„Gdzie ci czaszkę rozsadza filistrów hałastra.
„I ty przeczysty duchu, w robaka zaklęty,
„Cóż poczniesz? kędy zwrócisz się teraz?
— „Ad astra."

* * *

Władysław Sterling.

FRANCISZEK CHATEAUBRIAND.

Wspomnienie historyczne.

Pod datą 4 Lipca roku bieżącego obchodziła Francya 50-letnią rocznicę zgonu jednego z najwybitniejszych ludzi swojego czasu.

Na przełomie dwu epok powstała ta postać potężna, niby gniewny protest przeciw nowemu porządkowi rzeczy, niby ostatnia karta ery kończącej się krwawym dramatem — postać pełna sprzeczności sama w sobie, pełna niekonsekwencyi nawet, jeśli ją sądzić będziemy jako występującą czynnie na arenie życia politycznego—niemniej szczytna, podniosła, a mająca w sobie tyle uroku, tyle świateł i natchnień, tyle jednem słowem treści wewnętrznej, że się do niej kolejno zwracali i ubiegali o jej uznanie przedstawiciele wszystkich stronnictw, jakie w ciągu lat pięćdziesięciu występowały we Francyi.

Postacią tą był Franciszek wicehrabia Chateaubriand.

Urodzony i wzrosły w starym feudalnym kastelu rodzinnym, patrzył zdumiony a gniewny jak dogasała w osobie jego ojca, ostatniego pana na Combourgu, świetność rodowa; wsłuchiwał się w niepochwytne odgłosy nad-

ciągającej zdala nawałnicy, targał w bezsilności ubóstwa, które żarło powoli, ale z nieubłaganą zawziętością jego gniazdo ojczyste. Ambitny niesłychanie, chciwy czynu, poeta z urodzenia, przywilejowiec zaciekły ze krwi, pragnął dla ojczyzny po swojemu wszelkiej wielkości, sławy i potęgi, ale się przeczuciami duszy nie wcielał w te świty nowe, ani pojmował, iżby wielkimi ośmielili się być ci, których mu wychowanie jako czerń podrzędnych przeznaczeń uważać nauczyło.

Jeśli później nieco widział grzechy, słabość, upadek, winy, a choćby i zbrodnie starego porządku rzeczy, i jeśli uznając je w duszy przypuścił, że wolno się za cierpiącymi krzywdę i ucisk wiekowy upomnieć, to prawo podniesienia głosu przyznawał zaledwie rzecznikowi tak wysoko urodzonemu jak Mirabeau, zatykając uszy, gdy się świętokradztwa podobnego dopuszczały jakieś stany generalne, jakiś niewiadomo zkąd powstały stan trzeci — według niego zbiegowisko, niewiadomo dokąd zmierzające z bezgranicznemi uroszczeniami swojemi.

Daleko, za daleko niestety unieść miały Franciszka Chateaubrianda te gniewy namiętne — o wiele dalej niżby był zapewne pragnął w wieku dojrzałym i w epoce smutnej starości swojej, brzemiennej gorzkimi zawodami i rozczarowaniem doszczętnem odnośnie do wszystkiego, co było monarchią legitymistyczną we Francyi.

Tą granicą, którą w młodości swojej przekroczył niebacznie, stanowiło jego znalezienie się w armii książąt.

Błąd to był, który on dzielił z wielu bardzo ludźmi swojego stanu i swego ówczesnego sposobu myślenia, ale błędu tego łatwo wybaczanego innym, o wiele trudniej jest zrozumieć i o wiele więcej żałować wypada, gdy go się dopuszczał taki jeden Chateaubriand, niż kiedy się w nim pogrążało tysiące równych mu urodzeniem, ale nierównych bynajmniej geniuszem i patryotyzmem.

Prawdą jest, że karmiono go legityzmem, jako dogmatem niepodlegającym roztrząsaniu, prawdą i to, że gilotyna sprzątała głowy jego najbliższe i najserdeczniej ukochane, ale z drugiej strony to Coblentz takie szalone było w gniewie swoim bezsilnym, takie zaślepione i bezwzględne, takie stoczone własnemi nieprawościami, i tak cynicznie przekraczało granicę swego kraju pod opieką sił obcych, których nie można było uważać w żaden sposób za coś innego, jak za potęgę najezdniczą.

Z fragmentami „męczenników" swoich w tornistrze szedł tedy i on wraz z innymi walczyć przeciw Francyi, w obronie króla francuzkiego.

Idea obłędna prawdziwie, pełna kontradykcyi w zasadzie, i groźna nadzwyczajnie dla charakterów ludzkich jako przykład i zarazem jako nasienie wszelkich odstępstw i wrogich wystąpień przeciw własnemu krajowi. Los oszczędził młodemu entuzyaście spróchniałej legitymistycznej koteryi takich krańcowych zapomnień, jakich dowody złożyli w tej epoce inni; wraz z wygnaną dynastyą idzie on na tułactwo do Anglii, i tam przechodzi wielką szkołę nędzy, tęsknoty za krajem, a to wszystko podniesione jest do potęgi dzięki egzaltacyi jego ducha i zaciekłości stronnictwa do którego się zaliczał. Podróż do Ameryki zbogaca literaturę francuzką „Atalą," ale umysł młodego marzyciela zyskuje tam stokroć więcej dla siebie. To, ku czemu żywił on dotąd wstręt najwyższy na ziemi własnej — mianowicie sam fakt zrzucenia przemocy wewnętrznej narodu, tam w świecie nowym zyskuje w oczach jego inny charakter, w przeciwnem zupełnie przedstawia się oświetleniu. Temu duchowi potrzeba, jak widać, było ujrzeć, aby uwierzyć, że społeczności ludzkie mogą żyć bez powijaków i protekcyi jakichś warstw opiekuńczych, i że mogą one wydawać z pośród siebie bohaterów i przodowników, niekoniecznie z pomiędzy takich, co purpurą obleczeni spoczywają w ojczyźnie jego w podziemiach opactwa Saint-Denis.

Chateaubriand—legitymista zachwiał się aż do głębi istoty swojej na widok wyjarzmiającego się narodu.

A mimo to rzeczpospolita Francuzka nie przestaje mu być wrogiem i przedmiotem jego nienawiści Wraz z całą czeredą politycznych jednowierców swoich powraca do Francyi za sprawą Bonapartego, powraca gorzki, zniechęcony, wątpiący, ale w żadnym razie tak niepoprawny i śmieszny, jak tamci. Ani mu w głowie jak im, uważać rządy Bonapartego za prowizoryum, a jego samego za jakiegoś drugiego Monka, oczekującego tylko sposobności wprowadzenia napowrót t. zw. prawowitego monarchy. Ani razu nie powtarza ich oklepanek na temat, że czas, który upłynął od roku 1793 uważać należy za wykreślony z historyi, ponieważ ośmielił się iść naprzód bez zezwolenia tego, który gdzieś na dalekim wschodzie z emfatycznem niedołęztwem udawał dla siebie i swoich bliz kich jakiegoś Ludwika XVIII.

Chateaubriand'a oburza wewnętrznie wschodząca gwiazda, ale ani jej po żakowsku bagatelizuje, jak współwyznawcy jego, ani się łudzi już co do wewnętrznej wartości upadłej dynastyi. On wie, a jeśli nie wie to przeczuwa, że to zera i minusy ci książęta na wygnaniu, ale ćwieczek prawowitości monarchicznej, to jeden jak widać z upartszych, skoro nawet indywidualności tak niepośledynie jak on, lata całe pod jego wpływem pozostawać mogą.

Gniewa się tedy niepoprawny marzyciel ciągle o to, że z pnia zgniłego silne odrośla puścić nie chcą, gotów byłby jednakże odpuścić w części wielkiemu człowiekowi jego uzurpowaną potęgę, gdyby ten mocarz nie potrącał tak zuchwale świata, gdy nie druzgotał przed sobą tak bezlitośnie, gdyby wreszcie pomny na to, że wyszedł z rewolucyi sam, nie odbierał narodowi reszty swobód, które ten naród kosztem niesłychanych ofiar zdobyć sobie zdołał.

Bo ten Chateaubriand to wielki wpółświadomy siebie czciciel wolności. Jak się to kojarzyło z legitymizmem jego—trudno odgadnąć, ale to pewna, że uwziął się widzieć swoich dawnych panów pokojodawcami i dobroczyńcami ludzkości, podczas gdy oni do wszelkiej innej raczej, jak do tej missyi pod oną chwilę się poczuwali, podczas gdy tamtemu pretendentowi, starcowi o nogach obrzękłych, głowę od początku do końca zaprzątały na wygnaniu tylko chimeryczne satysfakcye odwetowe, które go ani na jeden moment nie opuszczały, a nie żadne broń Boże zbawcze reformy jego kraju.

Tego szermierzą, tego obrońcy, jakiego miał legitymizm w Chateaubriand'zie, nie była ta przegniła idea warta z największą pewnością—ani ona, ani jej przedstawiciele; zresztą paru dziesiątków lat trzeba było czasu, aby te legendowe nieuki i maniaki zadziwiły świat niepoprawnością swoją, a samego niezmordowanego rycerza przeżytej idei bezprzykładną prawie niewdzięcznością.

Historya notuje sporą ilość pokuszeń Napoleona w celu przywiązania autora „Ducha Chrystyanizmu" do koła zwycięzkiej swojej fortuny—pokuszeń, z których żadne w czyn skrystalizować się nie zdołało Z jednej i z drugiej strony nie zbywało na przeszkodach tym próbom niefortunnym. Potężny umysł wojownika odpychający stale wszystko, co w nauce i życiu potrącało w jakikolwiek sposób o doktryny materyalistyczne, szczególny uczuwał pociąg do tego, który po szkole encyklopedystów, a współcześnie z jego poetyckim rapsodem w czynie, zwiastował świty, odrodzenia, przemawiał potężnie do ducha francuzkiego, a przemawiał, jak się Napoleon wyrażał, „stylem proroka." Ze swojej strony Chateaubriand nie mógł się oprzeć urokowi tego geniuszu, a miał tyle w sobie szlachetnej bezstronności, że nie oddzielał tych wielkich przeznaczeń od przeznaczeń Francyi—owszem wbrew przeciwnie jak wszyscy nieprzejednani legitymiści, uważał on, że dodać do sławy jego ziemi ojczystej Bonapartego wraz z jego dziełami, nie znaczyło to bynajmniej zubożyć tę ziemię. Były więc atrakcye obustronne, były punkta styczne pragnień i wspólne wymiary horyzontów między temi dwoma indywidualnościami, a mimo innych dodatkowych czynników drugorzędnych, każde nowe zbliżenie kończyło się odskokiem zwiększającym dawną odległość. Do takich drugorzędnych czynników sprzyjających należała także pani Chateaubriand, zdecydowana i bardzo nawet krańcowa Bonapartystka, ale jakto dobrze wiadomo, wpływ minimalny tej kobiety na przekonania mężowskie, nie mógł zaważyć na szali potężniejszych o wiele niechęci i wstrętów obustronnych.

Cesarz marzy o zużytkowaniu Chateaubrianda, obmyśla dla niego stanowiska nowe, wybitne, z których ta postać świeciłaby i promieniała dokoła, dodając blasku z podbojów wyszłemu mocarstwu, ale bezwzględność tego pana, ale nędza duchowa jego otoczenia, a nadewszystko zupełny brak względów etyki w polityce zewnętrznej, przemagały zawsze nad skłonnością do ustępstw ze strony Chateaubriand'a, tak samo jak i Napoleona wstrzymywała ciągle w połowie drogi chłodna rezerwa zaciętego legimisty, i jego warunkowe oddanie się nowemu porządkowi rzeczy.

Śmierć księcia d'Enghien wysadza w powietrze wątły most ugody między tymi dwoma duchami, i oto teraz stać one już będą wrogo przeciw sobie aż do kresu przeznaczeń, aż do tragicznego konania wielkiego wygnańca rodzaju ludzkiego, i wielkiej poniewierki dzieł jego.

Umysły i charaktery takie jak Chateau-

briand, mają tę właściwość, że wszystko u nich jest godnem poszanowania, nawet ich błędy i pomyłki, bo wszystko, tych ostatnich nie wyjmując, wychodzi z głębi przekonania i czystych pobudek. Tego człowieka oburza samowola zwycięzcy, boleje nad cierpieniami swego kraju, robiącego nadludzkie ofiary i wysiłki dla zadowolenia dumy jednego człowieka; złorzeczy klęskom bezprzykładnym, tak jak złorzeczył niedawno niebywałym zwycięztwom, dopomaga dawnej dynastyi do odzyskania wakującego tronu, a kiedy się to wszystko nareszcie dokonywa — kiedy ostatni akt heroizmu francuzkiego tonie w morzu krwi rozlanej pod Waterloo, zatrzymuje się przed tem dziełem spełnionem, z przerażeniem rozgląda się w zniszczeniach, odwraca od zagłady spraw i imienia odsądzonego, i urągliwie patrzy na tych mściwych pigmejów, których sprawę od lat tylu z taką nieopatrzną gorliwością popierał.

Złośliwe bóstwa wysłuchały jego tyloletnich życzeń, skutek przeszedł oczekiwania, i oto są nareszcie ci dziedzice korony Ludwika świętego, są na gruncie francuzkim, są po to, żeby jednym zamachem pióra wykreślać z księgi historyi lat kilkanaście pełnych chwały i poświęceń, i żeby znieważając pamięć zwalczonych, dopomagać cudzoziemcom w poniewierce sławy francuzkiej, a z wytrwałością płazów mścić się na uczestnikach wielkiego dziejowego rapsodu.

Nie jest to atmosfera, którąby piersi takiego Chateaubrianda oddychać mogły. Jego nikt nie może posądzić o zniechęcenie z racyi, iż zmuszony jest ustąpić przed pierwszym lepszym dworakiem, towarzyszem tułactwa i szambelanem in partibus, wyniesionym dzisiaj do godności pierwszego ministra, on widzi zniszczenie dzieł wielkich dokonywane przez małych ludzi, widzi butę niedołęztwa rozsiadłą na obalinach dumy geniuszu, płacze nad Neyem ginącym od kul francuskich, tak jak płakał nad wnukiem wielkiego Kondeusza, i jako prawdziwe urągowisko fortuny uważa swoją ambasadę w Londynie, gdzie mu przy drugiej z rzędu oficyalnej wizycie przychodzi w przedsionku pałacowym Wellingtona, spotkać się z posągiem Napoleona Wielkiego. Napoleon w przedsionku! Tego znieść nie może stary monarchista.

Nudzą go sprawy dyplomacyi, ruszeniem ramion pozbywa się wpół zgiętych sekretarzy swego poselstwa, szuka błądząc po zaułkach Londynu wspomnień swego wychodźtwa, swojego głodu i nędzy ówczesnej, bogatej w nadzieje i przeczucia. A ponad tem wszystkiem unosi się dlań postać wielkiego skazańca dogorywającego na rozpalonej skale morskiej, chwyta chciwie każdą wieść napływającą ztamtąd, i urasta mu ta postać, urasta do rozmiarów nieprzewidywanych przezeń nigdy w dniach walki i namiętności stronniczych.

(*Dokończenie nastąpi*).

Powieści Prządek.

V.

Siew.

„Był ogródek malutki, zielony, a leżał wśród pól piaszczystych, wśród ugorów wyjałowionych, nagich i smutnych, na których tylko drobne, nizkie, zaledwo od ziemi odstające ukazywały się listeczki, lub gdzieniegdzie z pośród kamieni zielska wyrastały szkodliwe, obłędne szaleje, osty kolczaste, trujące bielunie, lub grzybów jadowitych plenił się ród.

Nad stepem tym wisiało niebo mgliste, senne, blade, i wicher czasem przeciągał zimny. A gdy leciał polami temi bez życia, to poświst jego gwałtowny zginał ku ziemi osty, i szaleje, i był jedynym pustki tej głosem, jedynym jękiem tej ziemi, i był jakby dzikim płaczem jej. A niósł ze sobą tumany pyłów brudnych, szarych, i zasypywał nimi rodzącej się gdzieniegdzie zieleni ogniska. I niósł ze sobą klątwę zniszczenia, choć może życia chciał być wskrzesicielem, bo lecąc wył głucho, tęskno i rozpacznie. Gdy dolatywał do ogródka, powiew jego łagodniał. Poszemrał pieszczotliwie w liściach drzew, wziął ze sobą coś z woni bzów, lip i konwalii... i gnał dalej a dalej.

Strażniczką ogródka było dziewczę białe, ciche, smutne. Ona to sadziła kwiaty i czystemi polewała je łzami. Ona rzucała ziarna i własnem, gorącem ożywiała je tchnieniem. I o zorzy rannej, i o zmroku wieczornym można było widzieć tę białą snującą się pośród zagonów kwietnych. A czasem wychodziła na pole puste, zamglone, i ręce w krzyż złożywszy na piersiach, patrzyła w siną dal.

— O pola, pola! — szeptały jej usta — czy nad wami kiedy zbóż złocistych zakołysze się fala?.. O pola pustynne, czy na waszem łonie nigdy nie rozpleni się życie? Czy wam już zawsze rodzić tylko szaleje i trucizny?

— Pustynio, pustynio! — mówiły tęskne jej oczy—o okryj się ty płaszczem zieleni wiosennej, zbóż szumnych zadzwoń muzyką, o bądź ty znowu matką dającą życie!

I wołała dębów, których nasiona leżały w tej ziemi, i sosen wołała szumnych, i jaworów zielonych, by wstały i pieśń życia wniosły w milczenie i ciszę śmiertelną tej pustki. A gdy stała tak na wzgórzu, z rękami wyciągniętemi przed siebie, prosta, wyniosła, surowa, zdawała się być sama jodłą wysmukłą, mieszkanką jedyną tej ziemi zamarłej. Oczy jej płonęły, bo dusza jej pełna była ognia.

Dziewczyna z bohaterów szła rodu. Ale choć drżała cała wskrzeszeń pragnieniem, dokoła niej cicho było i głucho, i wiatr tylko przeciągał zimny.

Więc smutna błąkała się po tych błoniach jałowych. Aż raz zaszła na wzgórze, które było mogiłą bohaterów jej rodu. I ziemi tej wziąwszy szczypt kilka, zaniosła je do ogródka swego i zmięszała z rolą swoich zagonów, a potem nie kwiaty jęła sadzić na nich, ale żołędź dębową i ziół leczniczych, i zbóż szumnych ziarna. Tak pracowała od świtu do zmroku, i błogosławiła siewowi swemu modlitwą, biciem serca i łzą.

Ale gdy nazajutrz dzionek zaświtał, biała dziewczyna leżała w ogródku swoim martwa.

I ucieszyły się duchy złośliwe, które tę błoń pustynną państwem swojem mieć pragnęły, ucieszyły się, że ogrodniczki upartej zabrakło...

Siostry moje, czy to koniec powieści?

Nie! Oto wracam z tej błoni pustynnej, i z ogródka wracam cichego. I mówię wam, na ziemi mogilnej pleni się siew. Wybujały zboża, i pod ziarn chylą się ciężarem, a gdy dojrzeją porwie je wicher, i na pola pustyni poniesie, i po stepie martwym je rozsieje. Wybujał dąbek, a gdy dorośnie rzuci żołędzie na puste ugory, i ziemia smutna lasem dębów się pokryje. Ogrodniczki praca nie pójdzie na marne, o siostry moje! Pustynia zakołysze się zbóż łanem, muzyką lasów rozbrzmieje. Pustynia żyć będzie!"

I gdy tak mówiła, oczy jej promienne, jak dwie gwiazdy w przyszłość patrzyły tajemniczą.

Helena Ceysinger.

NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu

Poprawniej byłoby powiedzieć: „Naznaczony," ale to, co przy korekcie takiej zyskała by gramatyka, straciłoby na jasności, sile, a nadewszystko na znaczeniu wewnętrznem określenie samo, które nie po to stworzył sobie lud, abyśmy je przy pomocy tak zwanej nauki poprawnego mówienia i pisania, przeinaczać mieli. O jego obyczaju mówimy, bierzmy tedy wraz z duchem i formę, którą on myśli i sprawy swoje zwykł przyoblekać.

Jakoż, gdyby ktoś powiedział o bliźnim swoim, że jest on naznaczonym, nie możnaby tego żadną miarą inaczej rozumieć, jak że ten człowiek różni się od innych podobnych sobie pewnym znakiem zewnętrznym, numerem, piętnem, jednem słowem jakąkolwiek cechą odciśniętą za pomocą jednego z powszechnie znanych i ogólnie praktykowanych środków mechanicznych. Takby to pojmował każdy z nas, i takby to wziął każdy z tych, którzy używają swojego utartego terminu: „Naznakowany" w pewnych wypadkach wyjątkowych.

Naznakowany natomiast ma znaczenie całkowicie odmienne, o wiele głębsze, a nadewszystko pełne treści mistycznej, którego nigdy bez należytej powagi, specyalnego akcentu, albo alluzyi szyderczej, otwierającej szerokie pole domyślności, nie zwykło się wymawiać. Naznakowany to zawsze człowiek, który przyniósł ze sobą na świat przeznaczenie swoje. Ma on w ustroju swoim

wewnętrznym właściwości ujemne, a iżby się na nim łatwowierność ludzka nie myliła, przeto Opatrzność, przyroda, los, czy traf prosty ucharakteryzowały go pewnymi znamiennymi rysami zewnętrznymi. Która właściwie z tych potęg wzięła na siebie wywieszenie takich znaków ostrzegająco-alarmujących, nie rozbiera się bliżej, bo bez potwierdzenia tego przypuszczenia w wierzeniach religijnych, bez możności usprawiedliwienia go jakimkolwiek innym sposobem, pozostał on tylko rodzajem przesądu—a jeśli kto woli tendencyjną insynuacyą złośliwą, niemniej ten przesąd jest wkorzenionym silnie, a ta insynuacya praktykuje się bardzo często.

Niekażda wieś ma swojego naznakowanego, ale ta, której się dostał intruz podobny, nie zaniedba mu na swój sposób umilić życia, a często nawet wytknąć doli wyłącznej, a zawsze dlań w najwyższym stopniu niepożądanej. Przesądy i zabobony są przecież od tego, żeby przymnażać ofiar, a z ludzi zkąd inąd dobrych i litościwego serca robić szaleńców i okrutników. U ptactwa i w królestwie zwierząt wogóle, albinizm naprzykład ściąga prześladowania istot tego samego gatunku, dlatego tylko, że one same są szarego lub popielatego upierzenia, dlaczegoby człowiek, który intelligencyą tamte twory nie o wiele przewyższa, miał być od nich na odrębności ujemnej natury, o wiele wyrozumialszym i litościwszym. Zazwyczaj też nie bywa takim, jak nas poucza życie.

Jest takie jedno przysłowie, które powiada, że więcej warte szczęście ślepe od wdzięku postaci, ale całej prawdy niema w tym aforyzmie. Zapewne że być szczęśliwym to jest wygrana wielka, ale i to szczęście miałoby drogi swoje wielce utrudnione, gdyby mu oddano w opiekę indywiduum szpetne, wstrętne i odrażające, a jak w danym naprzykład wypadku: naznakowane. Powab tworzy rekomendacyę pierwszą—zawsze prawie skuteczną, a niekiedy ściągającą nawet nadmiar względów zupełnie niezasłużonych.

W Zalesiu, ludnej i bogatej wsi kościelnej urodziło się w dniu 24 Marca 18.. r. dziecko takie same niby jak wszystkie inne—takie jakich przychodziło tutaj na świat dziesiątki każdego roku a że w dodatku zamożność rodziców była średnio przeciętna, że mieli oni już dzieci dwoje, a ten nowoprzybyły był trzecim z kolei, co także średnią miarę błogosławieństwa Bożego u ludu wiejskiego stanowi, więc nie było nic takiego, coby w pierwszym zaraz dniu narodzin chłopca szczególną na niego uwagę zwrócić miało. Wszystko też w dalszym ciągu dnia tego aż do godz. 5 z południa odbywało się w losach jego zwykłym, w takich okolicznościach przyjętym, trybem i zwyczajem. Chłopiec przyszedł na świat o świtaniu, o 8-ej zaczęły się już dokoła chaty ruch i krzątanina, zjawiły się bliższe i dalsze sąsiadki, radzono o chłopcu, przepijano gęsto, chwalono malca w miarę jak się libacye powtarzały, ale gdy już nastrój stygnąć poczynał, jedna z krewniaczek a dozorczyni profesyjna, odgrywająca tutaj rolę wcale niepodrzędną, zaryzykowała nieśmiało:

— A możeby jego chudaka ochrzcić dzisiaj?

Matka obejrzała się trwożnie na kołyskę, podejrzewając, że to może jakie symptomata złej wróżby doradzały taki pośpiech nadzwyczajny, którąś z sąsiadek wtrąciła uwagę o ulewie wiosennej, która szalała tam na dworze, inne poparły ją w przewidywaniu, że droga do kościoła o wiorstę blizko odległego, po roztopie wiosennym i świeżym deszczu pociągającą być nie mogła, zwłaszcza, że co się odwlec mogło, uciec nie mogło w żaden sposób. Podrażniona jednakże w miłości własnej autorka projektu, tem uparciej go się chwyciła, zwłaszcza, że to jej powagę, jako znawczyni, kwestyonowało dotkliwie.

— Tak wam to łatwo mówić, moje kobiety, bo wasze lata nie te co moje i wasz rozum nie chwalący się, także nie ten co w mojej starej głowie. Nie takie ja widziałam dzieci, jak ten oto charłaczyna, a jak się Bogu podobało, to jednej godziny zmiotło je choróbsko, niby ten liść z drzewa. Żebyście wy tyle przeznały, co ja, tobyście rozumiały, że to dziecko na to mówiący, to nieprzymierzając jak sasane czek w lesie. Niby choć i ten, to on spokojny, ale to się niema na co oglądać, bo to niema spokojniejszego jak taki co już umarł, a zresztą „nie wiedzą prorocy Bozkiej mocy." A jakby się złe stało, to czyja będzie wina, i do kogo gospodyni jankor będzie miała w sercu? Ja tam od tego ręce umywam, a wy kiedyście takie wiedzące i pewne, to radźcie i doradzajcie. Nie moja głowa — nie moja będzie wina.

Zaczęto tedy naprawdę radzić po kątach, rozpoczęła się krytyka sił tego obywatela, który ani pojmował, że o niego chodzi, i dlatego zapewne spał sobie najspokojniej. Kobiety szeptały trochę rozmarzone, przypominając sobie wszystkie wypadki niechrześciańskiej śmierci dzieci w Zalesiu, zaledwie ochrzczonych z wody, a kiedy raz jeszcze obeszła kolejka, to i przyszłość tego poganina mimowiednego przedstawiła się opiekunkom jego w najczarniejszych barwach.

Zaniepokojono matkę, zaniepokoiwszy uspakajano znowu, ale zawsze sens konkludujący był taki, że co z głowy to z myśli—co masz zrobić jutro, to zrób dzisiaj, a co chrzest święty i obowiązek chrześcijański, to przecie nie przelewki żadne. O tem, żeby sprężyną główną tego pośpiechu było principium tkwiące w aksyomacie: co masz wypić jutro — wypij dzisiaj — o tem nie wspomniała oczywiście żadna z doradczyń i opiekunek.

Posłano po gospodarza, który dla domłócenia resztek owsa w stodole, zmuszony był donająć sobie dwóch pomocników, ten oczywiście skrobaniem się w głowę manifestował wahanie i niechęć swoją, ale przekonany prośbami żony i koniecznością uznaną tutaj jednomyślnie, uległ bez długiej opozycyi. Zresztą i trudności nadzwyczajnych nie było żadnych, bo Antoni Mróz był człowiekiem łagodnym i nie lubiącym się spierać. Kumy były zdawna uproszone, więc tylko byle się przyodziać, jak do świętego obrzędu przystało, miało się to wszystko zgromadzić i wyruszyć do kościoła, uprzedziwszy poprzednio organistę, aby dobrodzieja zawiadomił.

Zanim jednak te kumy rozeszły się po domach, zanim każda załatwiła z pośpiechem co u siebie do zrobienia znalazła, zanim się przybrały odświętnie i w uroczystym nastroju powróciły do chaty Antoniego, południe dobrze minęło. Tu jeszcze trochę krzątaniny, trochę sporów o imię chłopca, ale że to święty Wojciech niedaleko był, a i ojcu gospodyni Wojciech było na imię, więc się po pewnych dyskusyach na onego Wojciecha zgodzono.

Zabłocona i zmokła gromadka stanęła przed kościołem o godzinie 5 tej z wieczora. Tu nie kazano jej wprawdzie długo czekać, ale jeśli tak się stało, to chyba dlatego tylko, że złe zawsze rychło przychodzi.

Zaledwie zjawił się poprzedzony przez organistę proboszcz, wnet zbliżono się do chrzcielnicy, a tu Antoni pokłoniwszy się dobrodziejowi pięknie, objaśnił zwięźle, jak to nawykły był czynić lud w Zalesiu w stosunkach z proboszczem swoim, dobrym i wyrozumiałym człowiekiem, ale znanym ze stanowczości i nie lubiącym ponad wszystko gadulstwa.

— Chłopcu na imię będzie Wojciech — powiedział tedy Mróz.

— Chłopcu na imię będzie Marek — odpowiedział równie krótko, ale z pewnym naciskiem ksiądz.

Gdyby piorun z czystego nieba strzelił był pod nogi tej gromadce, nie byłby wywołał takiego osłupienia. Imię Marek jest najmniej popularnem w całym kalendarzu naszym. Omija je lud wiejski ile tylko może, a w ostatnim razie ulega przymusowi, po wyczerpaniu wszakże wszystkich środków legalnej i podstępnej nawet obrony. Tak się też miały rzeczy i tutaj. Ojciec drapał się po głowie i prosił kilkakrotnie, kumy schylały się do nóg księdza, perswadując, obiecując, wyprowadzając na manowce, ale i argumenty, i sofistyka okazały się bezowocnemi.

— Gdybym chciał dać później na imię Markowi temu, który sobie przyniósł na świat inne imię, nie miałbym się czem usprawiedliwić — oponował proboszcz. — Markiem przyszedł na świat i Markiem zostanie.

— A czy to brak Marków na taką okrutną parafię?

— Jakbyście wiedzieli, że brak. Od roku, to jest od czasu, jak pomarł stary Szymczak parafia nie ma Marka. Musi tak być, jak powiedziałem i tak będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Szkoła.

Na skutek przedstawienia jednego z kuratorów okręgów naukowych, zdecydowało Ministeryum Oświaty, aby dyrektorzy rządowych średnich zakładów naukowych wydawali świadectwa szkolne tym, którzy po zdaniu egzaminu wstępnego nie zostali przyjęci do klas odpowiednich z powodu braku miejsca. Świadectwa o których mowa, mają być równoważne ze świadectwami tych, którzy uczęszczając do zakładów naukowych otrzymali je przechodząc z klasy do klasy.

Wiadomość ta może zbliska interesować rodziny i dlatego pomieszczamy ją tutaj.

Z rozporządzenia Ministeryum Oświaty postanowiono przy gimnazyach żeńskich posiadających klasy pedagogiczne otwierać szkoły bezpłatne dla dzieci ubogich.

Ministeryum Oświaty wyjaśniło ostatecznie, iż nauczyciele pełniący obowiązki inspektorów gimnazyów, progimnazyów i szkół realnych, nie mogą utrzymywać na stancyach uczniów uczęszczających do zakładów naukowych, którymi zarządzają.

Zapadło postanowienie Magistratu dotyczące otwarcia w Warszawie dwudziestu nowych szkół początkowych. Fundusz przeznaczony na ten cel wynosi rocznie około 42.000 rs., a tym sposobem całość summ asygnowanych na szkołę dosięga 250,000 rs. Jest to tedy kwota dosyć znaczna, a jakże ona jednak daleką jest od zadosyćuczynienia bieżącej potrzebie.

Ministeryum Skarbu udzieliło p. Chankowskiemu pozwolenie na otwarcie w Warszawie nowej szkoły handlowej prywatnej. Kurs tej szkoły jest trzyletni nie licząc klasy przygotowawczej. Wstępujący do klasy I-ej obowiązani są złożyć świadectwo z ukończenia dwuklasowej szkoły miejskiej. Opłata roczna: w klasie przygotowawczej 75 rs. — w innych 100 rs.

Ministeryum Oświaty zatwierdziło z wyłączeniem praw osób trzecich nowy zapis Konopackich w summie rs. 12,000, od którego odsetki przeznaczają się na stypendyum dla niezamożnego ucznia szkoły realnej w Łowiczu. Kandydat ma być wyznania rzymsko katolickiego, urodzony w Królestwie Polskiem. Inne warunki określone są bliżej w akcie darowizny sporządzonym przed rejentem kancelaryi hipotecznej sądu pokoju m. Kutna.

W I-em gimnazyum żeńskiem w Warszawie na nadchodzący rok szkolny niema już miejsc wolnych w klasach: I i II. Prośby o przyjęcie do klasy przygotowawczej i do pozostałych składać należy w kancelaryi gimnazyum we Wtorki i Piątki od godz. 10 do 12 przed południem. Termin podawania próśb od 13 Lipca do 13 Sierpnia.

Dobroczynność.

Na skutek starań Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności Rada miejska dobroczynności publicznej zgodziła się wyasygnować na budowę nowego gmachu kapitał 25.000 rubli uzyskany ze sprzedaży na Nowem Mieście nieruchomości zbudowanej z prywatnych funduszów, w której mieściły się pozostające na opiece sieroty. Z funduszu tego powstanie budowla mająca stanowić przytułek dla dziewcząt imienia Stanisława Jachowicza i T. Świergockiej. Przytułek ten będzie wyniesiony poza obręb Warszawy.

Na mocy aktu sporządzonego przed rejentem Masłowskim znana powszechnie piękna posiadłość podmiejska Królikarnia, stała się własnością Towarzystwa Opieki nad chorymi nieuleczalnie. Ułożono też i tymczasowy budżet tej nowej instytucyi dobroczynnej, który wynosi rs. 12 000 przy obliczeniu schronienia na 40 chorych i odpowiedniej ilości dozorczyń i posługaczek. Fundusz ten jednakże preliminowany w tej wysokości poleca się do złożenia ofiarności publicznej, a że będzie złożony wątpliwości chyba nie podlega. Dar powyższy hr. Zygmunta Pusłowskiego przedstawiony został do zatwierdzenia władzy właściwej.

Z prowincyi.

„Gazeta Kielecka zawiadamia, że w samym tylko powiecie kieleckim trudni się wyrobem płótna i wełnianek około 20,000 kobiet. Szczegółów dotyczących zbytu tego artykułu domowego przemysłu nie podaje pismo, a musi być zbyt i dalszy nawet, bo produkcya przez tyle pracownic wytwarzana jest z pewnością znaczna. Można także stworzyć sobie dość korzystne wyobrażenie o jej udoskonaleniu, skoro tkaniny konkurują z wyrobami przemysłu maszynowego, już u nas rozpowszechnionymi bardzo a znajdującymi nadto wśród włościan chętnych nabywców. Jeśli tylko cyfra oddających się tkactwu domowemu kobiet włościańskich jest autentyczną, a chociażby blizka rzeczywistej, fakt jest nader wymowny, a wnioskiem, jaki się z niego wyprowadzić pozwala, jest możliwość rywalizacyi dla tkanin włościańskich, odznaczających się trwałością z hurtownem partactwem naszych milionowych zakładów przędzalnianych. Zresztą korzyści dalsze są nie obliczone. Wełna swoja, len swój — jedno i drugie nie przepuszczone przez dziesiątki rąk nienasyconej spekulacyi, ale zużytkowane na miejscu. Ludność rolna nie oderwana od błogosławionych siedzib swoich, nie potrzebująca ściągać do tych obydnych zbiorowisk wyzysku i upodlenia, jakimi są niezaprzeczenie wszystkie centra akcyjnego i nieakcyjnego wielkiego przemysłu — oto niezmierne dobrodziejstwa tego zwrotu, który oby jak najszersze zyskał rozpowszechnienie i naśladownictwo. O działalności w tym kierunku p. Kleniewskiej, właścicielki Kluczkowic w gub. Lubelskiej donosiliśmy czytelniczkom naszym, obecnie szłoby o dwa pryncypalne jeszcze ułatwienia, o których już pisaliśmy także, a których nigdy do zbytku powtarzać nie można.

Jednem z nich byłyby podręczniki jak najlepiej zastosowane do rozwoju umysłowego sfery włościańskiej z dziedziny tkactwa i farbiarstwa, które rozpowszechnić należy jak najgorliwiej w miejscowościach, gdzie są siedliska domowego tkactwa.

Drugiem, poczynienie możliwych ułatwień co do zbiorowego nabywania ulepszonych warsztatów, przy dzisiejszych bowiem zawsze ta wytwórczość szwankować musi.

Mają syndykaty swoje miliony do rozporządzenia, ale ma taki naprzykład przemysł rodzimy jak tkactwo domowe, miliony nabywców wśród ludności włościańskiej, a to jest przecież także siła i zachęta nielada. Zresztą ktoby kosmopolityczny krój ubrania ludności wiejskiej rozmiłowującej się w nim coraz bardziej, wyperswadować zdołał, tenby i tej ludności bezpośrednio, i tkackiemu przemysłowi w drugim rzędzie niezmierne oddał usługi.

Wpływów rozumnych—zainteresowania się tą sprawą—upowszechniania zdrowych pojęć i tłumaczenia temu ludowi w czem jego pomyślność istotna—nigdy dosyć. Oto zadanie chwili dla tych, którzy z ludem w jakimkolwiek bliższem zetknięciu zostają.

Pożądana inicyatywa.

Prezydent miasta Moskwy po zebraniu szczegółowych danych doszedł do przekonania, że na obroty totalizatora istniejącego przy Towarzystwie wyścigowem moskiewskiem składają się przeważnie ubogie klasy ludności, a ponieważ zyski roczne Towarzystwa na totalizatorze dochodzą kolosalnej summy 500,000 rs. rocznie, przeto nie trudno sobie wystawić, jakiemi następstwami zagraża coroczne wyławianie takich kwot z kieszeni najuboższych, zwłaszcza gdy obroty te nie słabną, a przeciwnie wzrastają z roku na rok. Ztwierdzonem też jest, że ludzie bogaci nie przyjmują udziału w grze totalizatorowej a robią tylko zakłady między sobą. Wszystko to zważywszy podał prezydent motywowany swój projekt zniesienia totalizatora do Ministeryum spraw wewnętrznych, i jest wszelka nadzieja, że humanitarnemu temu przedstawieniu władza poparcia i sankcyi swojej użyczyć nie zaniedba.

Czeka Moskwa — czekajmy i my.

Wskazówki i rady.

Przepyszna legumina „à la Gambetta."

Wziąć jedną bułkę długą za 5 kop. pokrajać w plasterki, z których połowę nasmarować truskawkowemi konfiturami, a drugiemi pokryć mocno, ścisnąć i umoczyć w śmietance słodkiej. Wtedy pookrawać z każdych dwóch złożonych ostrym nożem skórkę, formując ośmiokątne bułeczki. Usmażyć je na klarownem koniecznie maśle, bo stwardnieją i uschną zanadto. Tak usmażone ułożyć w okrąg na porcelanowej płaskiej salaterce czy półmiseczku, trzymać na ciepłym trzonie, a podając wlać w środek między grzanki sos zrobiony z pół łyżki młodego masła, w które gdy się zagotuje wsypać małą łyżkę od herbaty, kartoflanej—koniecznie kartoflanej mąki i rozprowadzić to syropem od truskawek, zmieszanym z kieliszkiem dobrego araku. W braku truskawek można użyć malin lub ananasu, bardzo cienko pokrajanego, żadnych innych konfitur użyć nie można, do sosu zaś nawet malinowy syrop niewłaściwy—użyć wtedy cukru i trochę soku cytrynowego. Wytworna legumina.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Іюля 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski**. **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Władyś przepędził przy babce jeszcze dwa lata, podczas których dobiegł młodzieńczego rozwicia; zaciasno mu było w domu. Orlik porastał w pierze i chciał sprobować siły swych skrzydeł za granicami rodzinnego gniazda.

Starościna nieśmiała sprzeciwiać się woli wnuczka, wyprawiła go więc wraz z nauczycielem do Wiednia, zkąd po niejakim czasie obaj mieli udać się do Włoch a następnie do Francyi.

Władyś, za poradą Mentora, dla oszczędzenia babce bolesnej chwili rozstania, pożegnał ją tkliwym listem, i przed wschodem słońca wyjechał z domu.

Wszystko spało w pałacu, kilku tylko ludzi wtajemniczonych do zamiaru krzątało się około powozu i koni. Podróżni, dla nieprzebudzenia mieszkańców, kazali woźnicy cichaczem wyjechać za bramę. Władyś całą piersią pociągnął jeszcze tego powietrza, jakiem przez tyle lat oddychał, całym wzrokiem ogarnął miejsca pamiętne tylu szczęśliwych chwil. Łzy zakręciły się mu w oczach, wybiegł szybko za bramę, wskoczył do powozu i jeszcze raz się obejrzał.

W ogrodzie, obok którego przejeżdżali, na znajomym mu wzgórku, bieliła się jakaś postać. Poranek był świeży i cichy; słońce właśnie wybłyskiwało z pod widnokręgu, a pierwsze jego promienie ślizgając się po zroszonych kwiatach i drzewach, złociły jasnowłosą główkę stojącej na wzgórku Nastusi. Twarzy jej nie było widać; dziewczyna nieco schylona ukrywała ją w dłoniach.

Władyś drżącym głosem krzyknął jej pożegnanie, ostatnie dźwięki jego słów zatonęły w potoku łez; chłopiec rzucił się swemu nauczycielowi na szyję, woźnica zaciął konie, skręcił na prawo i niebawem, wioska, stary pałac i najwyższe lipy ogrodu, znikły im z oczu.

Po wyjeździe Władysia, dom całkiem dla Starościny opustoszał; każde miejsce przypominało jej rozstanie z ukochanym wnuczkiem; mało wychodziła z swego pokoju, żyła tylko chwilami, w których odbierała wiadomości od swoich podróżnych.

Powoli jednak czas i te rany, jeżeli niezupełnie zabliźnił, złagodził przynajmniej ich drażliwość; Starościna przyzwyczaiła się do swego jednostajnego trybu życia, przeplatanego dewocyą, hodowaniem kanarków i wykarmianiem szpiców.

Jedna Nastusia, od tego poranku kiedy stojąc na wzgórku usłyszała ostatnie słowa odjeżdżającego panicza, przebiegła duchem po różnych tonach uczucia.

W pierwszych dniach wpadła w gorączkową jakąś wesołość; nigdy przedtem nikt nie słyszał jej tak głośno śmiejącej się i rozmawiającej, zupełnie, jak gdyby otaczających uważała za głuchych; być może, że tym sposobem, biedaczka pragnęła sama zatłumić wewnętrzne jakieś burze. Później, nagle ucięła i zamilkła jako harfa, której struny przeciąłby ktoś jednym zamachem.

Dziewczyna stała się posępną, milczącą; słaniała się po samotnych miejscach jak fantastyczne widmo z oparu unoszone wiatrem po łące, czasami tylko półgłosem śpiewała zwykłą, tęskną piosenkę. Głos jej wtedy coraz wiotszymi dźwięki rozwiewał się w przestrzeni, nikł w głębi piersi i piosenka kończyła się dwiema łzami, które grubemi perły toczyły się po jej wybladłem obliczu.

Tymczasem Starościna, która koniecznie potrzebowała rozrywki, nie pozwalała, aby oprócz niej ktokolwiek w domu się smucił; gniewała ją i nudziła roztęskniona postać małej wieśniaczki. Oczywiście, chłopka zepsuła się na pańskim chlebie i nadużywając dobroci swej pani, przybierała bladość i ruchy, zaledwie pannom najszlachetniejszego urodzenia właściwe. Przez wzgląd na zasługi Krystyny, matrona nie powstawała groźnie na jej córkę, zwolna tylko oddalała ją od siebie, i wszelkimi sposoby dawała jej uczuć swoją niechęć.

Nastusia poznała, że Pani nie rada na nią spogląda; zaprzestała przychodzić do salonu, siedziała cały dzień w pokoiku z matką, o zmierzchu dopiero wymykała się tyłem ogrodu na łąki, gdzie była pewną, że nikogo nie spotka. Zimą, wieczorami przędła, lub niekiedy czytała książki, ukradkiem zdobyte z biblioteki.

Władyś śród tego, często babce o sobie donosił.

Panicz, przepędziwszy dwa lata w Wiedniu, udał się do Włoch i ztamtąd w listach, pełnych młodzieńczego zachwytu, opisywał Starościnie swoje wrażenia. O Nastusi ani razu nie wspomniał; wir światowych uciech zatarł mu w pamięci pierwsze wspomnienia dziecinnych lat. Bawił się wybornie, nie szczędził złota; kupował przyjaźń, kupował miłość i miał słuszność — wszakże babka poto wysłała go za granicę, aby nakupił sobie rozumu i doświadczenia.

Czas migał mu błyskawicą, ale podczas gdy w nim siły młodzieńcze rozwijał, babkę jego coraz bardziej chylił ku ziemi.

Trzecie lato mijało od jego wyjazdu; młody hrabia od roku rozstał się był z swoim nauczycielem i zamierzał Włochy porzucić dla Francyi, gdy wtem otrzymał list od Starościny, drżącą ręką pisany i błagający go, aby czemprędzej wracał, jeżeli chce ją zastać jeszcze przy życiu.

Władyś nie stracił ani chwili, natychmiast wybrał się w podróż do domu, ale przybył zapóźno.

Starościna już nie żyła.

Hrabia Władysław Wilczek, wyjąwszy bowiem Krystyny, nikt go już Władysiem nie nazywał, wrócił do miejsc rodzinnych, w sam dzień pogrzebu.

Orszak żałobny i pochodnie migające zdaleka ostrzegły nadjeżdżającego, że przynajmniej w sam czas przybywa, aby oddać babce ostatnią posługę.

Wilczek, od chwili wyjazdu, pierwszy raz doznał silnego uczucia boleści. Im więcej zbliżał się do celu podróży, tem wydatniej stawał mu w pamięci czas pierwszych jego lat, słodko spędzony pod okiem rozmiłowanej w nim babki. Cieszył się nadzieją, że może Starościna chwilowo tylko zapadła, że zastanie ją zdrowszą, a wtedy cały dom z okrzykami wesela wylegnie na jego przyjęcie. Krystyna padnie mu na szyję, Starościna rozpłacze się z radości, on zaś, bohater rzewnego dramatu, rozrzuciwszy do koła uśmiechy, powitania, uściski, zasiądzie uroczyście w salonie, i w krótkich słowach błyśnie ogólnym zarysem wrażeń doznanych za granicą.

Los w poprzek zajechał jego nadziejom, i zmusił go do przyjęcia na twarz wyrazu całkiem nieprzygotowanego.

Pomimo żałobności obrzędu, domownicy nie bez przyjemnego rozczulenia ujrzeli zjawiającą się nagle śród pogrzebnego orszaku postać nowego, a dawno im znajomego pana.

Wilczek do żywego był wzruszony; smutnie wszystkich powitał, z nikim atoli niewdał się w rozmowę, wyjąwszy rządcy, z którym całą noc przepędził na pogadance.

Następnych dni hrabia obejmował majątek, urządzał dom po swojemu, od rana aż do późnych godzin odbierał sprawozdania, rozpisywał listy, naradzał się z podwładnymi. Rządca nie mógł odchwalić się czynności młodego pana, który zaledwo pełnoletni, umiał rozkazywać lepiej od wielu dojrzałych.

Wkrótce przeminęły pierwsze kłopoty; nowy właściciel mógł trocha odetchnąć. Uprzątnięte główne zawady teraźniejszego położenia, rozkryły mu przeszłe jego pamiątki.

Wilczek, pewnego wieczora, siedząc w otwartem oknie, jął przywoływać kolejno na pamięć wypadki ubiegłych lat, gdy w tem nagle, uderzył go zdala odgłos oddawna znanej mu tęsknej piosenki. Poskoczył z krzesła, zadrżał, serce gwałtownie w nim zakołatało, ach! z jego wspomnień to może było najczarowniejszem, a on prawie zupełnie był o niem zapomniał!

Wilczek wypadł z pokoju, biegł spiesznie, kierując się po promyku melodyi, którego drżące dźwięki chwytał całą duszą.

W najsamotniejszej części ogrodu, na kamiennej ławce zakrytej drzewami ośnieżonemi kwieciem bzów i jaśminów, siedziała dziewczyna.

— Tyżeś to Nastusiu? – zawołał, porywając ją za rękę.

— A ja, Panie — odpowiedziała, podnosząc na niego wielkie, błękitne oczy.

— I od czterech dni, jak tu jestem, nawet nie przyszłaś mnie powitać?

— Nie przyszłam, mój Panie; cóż ja, wiejska dziewczyna mam się panu nastręczać na oczy?

— Moja miła Nastusiu; zupełnieżeś o mnie już zapomniała?

— Niezapomniałam.

— Tego się spodziewam; wszakże ty ocaliłaś mi życie, pamiętasz?

Wilczek, pierwszy raz przypominał sobie wypadek, który zostawił niestarte wrażenie na umyśle Nastusi.

— To nie ja pana wyratowałam — odrzekła drżącym od łez głosem.

— Jakto nie ty?... przecież nie lekarz?

— Nie, nie lekarz; Panu Bogu tak się podobało.

— Moja luba Nastusiu, chodźże do pokoju, do światła, niechże cię obaczę, niech się na ciebie napatrzę; musiałaś wypięknieć od czasu, jak cię po raz ostatni widziałem.

To mówiąc zaciągnął dziewczynę do pałacu i postawiwszy ją przed lampą, zaczął bacznie jej się przyglądać.

Wilczek nie posiadał się ze zdumienia.

Nastusia zadawalała najestetyczniej wykształconą wyobraźnię. Snycerz mógł był wziąść jej rysy i postać na wzór do posągu niewieściej piękności, malarz uważałby się za szczęśliwego, pochwyciwszy przezroczysty koloryt jej twarzy, poeta z zachwyceniem byłby spoglądał na to spowietrzniałe liljowo-różowe zjawienie; prostak nie byłby się nawet za nią obejrzał.

Wilczek ujął w obie dłonie małe jej rączki; Nastusi łzy ciągle perliły się w oczach, tak, że spoglądając na małego towarzysza lat swoich dziecinnych, widziała twarz jego jakby utęczowaną.

— Powiedzże mi, moja Nastusiu — mówił dalej, wypoczywając wzrok na promiennem obliczu dziewczyny—czy rada jesteś z mego przybycia?

— Ja tylko o to jedno modliłam się bezustanku — odrzekła.

— No, kiedy tak, to ci powiem, że spodziewam się długo między wami zabawić. Nie wyruszę z domu przez całe lato; nie ręczę nawet, abym na zimę wyjechał, a kto wie, może być, że was nigdy nie opuszczę. Będziemy odtąd ciągle razem.

— Nie, panie mój, ja będę daleko. W święta tylko, w kościele na pana popatrzę. Matka dziś jeszcze wyprowadza się z pałacu. Pani Starościna umarła; my obie tu już niepotrzebne.

— Co mówisz Nastusiu? teraz właśnie, kiedy sam jestem, chciałyżbyście mnie porzucić?

— To matka chce, a ja muszę za matką.

— Przez Boga żywego, przysięgam, nic z tego nie będzie!—zawołał Wilczek, okrążając wzrokiem dziewczynę; zaczekaj tu Nastusiu, pójdę natychmiast po kochaną moją piastunkę.

— Nie panie, już późno, i mnie pora odejść.

— Dobrze więc, do jutra moja miła; ja dziś jeszcze, zaraz rozmówię się z Krystyną.

Wilczek uśmiechem i skinieniem ręki pożegnał Nastusię, i wybiegł do swojej piastunki.

Sprawa nie trudną mu była do wygrania. Krystyna uważała się w sumieniu za wszechwładnie podległą rozkazom właściciela gruntu, ku czemu dodawszy przywiązanie do wychowańca, rozkosz przejmującą ją na widok dawnego małego Władysia, dziś wyrosłego na urodziwego pana, wypadało, że za całą odpowiedź zaczęła całować go po rękach i rozpłakała się, aż trudno z niej było pół słowa wydobyć.

Wprawdzie nazajutrz napomykała cichaczem, że ona, wieśniaczka, mało na co mogła przydać się w pałacu, że Nastusia była do niczego, że ludzie nazywali ją waryatką, ale Wilczek wytłumaczył jej, że potrzebował koniecznie powierzyć komuś kobiecą część gospodarstwa, że nie mógł uczynić trafniejszego wyboru, jak zdając rządy Krystynie, obeznanej ze wszelkimi szczegółami i posiadającej zaufanie trzech pokoleń panów włości.

Ostatnie ślady po Starościnie niebawem znikły z pałacu.

Dwie panny respektowe, latami równoczesne prawie z nieboszczką, hojnie testamentem jej wyposażone, wyjechały na mieszkanie do Lwowa, gdzie dzięki sąsiedztwu OO. Jezuitów, łatwiej mogły oddawać się codziennemu uprawianiu cnót katechizmowych i dewocyi. Wilczek, oprócz wielu upominków, obdarzył je kanarkami, szpicami i papugą, bez których życie nie byłoby dla nich miało żadnego celu ani powabu; uszczęśliwione, przyrzekły uroczyście w porannych i wieczornych modlitwach, wspomnieć o szlachetnym dobroczyńcy.

Po długim letargu jaki na nim ciążył, pałac zdawał się oddychać; pełnemi oknami brał w siebie na wskroś przewiewające go powietrze, napełnił się męzką służbą; ściany i sufity oddawna przyzwyczajone do pełzających po nich rozkrztuszonych szeptań dewotek i pani domu, teraz z radością powtarzały echa gromkich głosów myśliwych, strzelców, dojeżdżaczy i zgiełkliwej służby młodego właściciela.

Wilczek w podróży swej, zapoznał się był z wykwintną wiedeńską młodzieżą. Gwoli jasnemu urodzeniu, pokrewieństwu, jakie łączyło go z Sokolnikiem, szczodrze szafowanym dostatkom i ujmującej powierzchowności, wszedł do pierwszych salonów, przepędzał nieraz całe tygodnie w wiejskich pałacach bogatych panów Cesarstwa, i tam wyuczył się tego życia zamkowego uprzywilejowanej kasty, o jakiem w całej Polsce nikt nie miał przed pół wiekiem prawdziwego pojęcia. Życie to, na opak polskiemu życiu, zależało głównie na założeniu w samym gospodarzu domu ogniska niejako, do którego zewsząd miały zbiegać się promienie wszelkich uciech i przyjemności, jakie nastręczało posiadanie znakomitego majątku. Gości i domowników o tyle przypuszczano do kosztowania z tej czary rozkoszy, o ile miłość własna Amfitryona znajdowała w tem swoje zadowolenie. Matematyk powiedziałby, że w stosunku do gospodarza, była to gościnność dośrodkowa, podczas, gdy w starej Polsce odśrodkowość cechowała pański sposób przyjmowania.

Po powrocie, widok Nastusi sprawił na nim głębokie wrażenie.

Doskonałość kształtów dziewczyny, rozmarzenie jakieś w całej jej istocie, uroczysty spokój rozlany na obliczu, błękitne oczy ciemniejące lub blednące, stosownie do akordów duszy, wszystko to wydało mu się tak niezwyczajnem, tak odmiennem od tego, co widział dotąd w innych kobietach, że po raz pierwszy może w życiu — zamyślił się.

Rozmowa, której zawsze tak gorąco pragnął, nie łatwo mu przychodziła. Nie podobna było prawić jej grzeczności, karmić łakocią pięknych słów. Dziewczyna czy ich nie rozumiała, czyli też wstrętu ku nim nie mogła przezwyciężyć, dość, że podobnie zagabnięta, z goryczą odwracała głowę.

Zkądinąd, wbrew wieśniaczym obyczajom, towarzystwo pana wcale jej nie mięszało; przeciwnie, zdawała się doń zrodzoną; samem przeczuciem zabiegła daleko wyżej, aniżeli nie jedną pannę z wysokiego świata zaciągnięto na paskach modnego wychowania.

Z własnych swoich uczuć względem Wilczka, Nastusia nie umiała przed sobą jasno się wytłumaczyć, wiedziała tylko, że od pamiętnej nocy, przepędzonej przy chorym paniczu, jeden dzień nie przeszedł aby o nim nie pomyślała, ażeby się za niego nie pomodliła.

Powoli, jakiś jutrzenny rumieniec, na widok jej pana, oblewał Nastusię; nie mogła słowa wynaleźć na byle jaką nawet odpowiedź, traciła wspomnienia własnych marzeń, drżała jak listek pod pieszczącym ją wzrokiem hrabiego.

Odtąd, pomimo tyloletniego zwyczaju i gorącej chęci, ani rano, ani wieczorem nie mogła za niego się modlić. Odbiegły ją sny i tęczowe widziadła, a rozkołysany na wsze strony umysł, zawirował około jednej postaci, towarzysza lat jej dziecinnych.

Odtąd często roiła sobie, czemu też nie przyjdzie mu chętka kazać jej rzucić się w przepaść, poskoczyć w ogień, czemu na cokolwiek nie zażąda jej życia?... Z jakiemże uniesieniem szczęścia, z jakiemiż łzami wdzięczności byłaby mu je oddała?... — cóż bowiem biedna dziewczyna więcej mogła zaofiarować? Myśl ta młynkowała jej w głowie, na chwilę nie opuszczała, wybiegła w oczach, rozświeciła lica.

Na Wilczka dziwnie uderzała nadzwyczajna potęga uczucia wiejskiej dziewczyny; on sam widocznie ulegał nieprzezwyciężonemu wpływowi, pochylał się ku niemu. Nieraz może byłby chciał się cofnąć, ale jak człowiek zwieszony nad otchłanią parł się ku urokowi splecionemu z rozkoszy i z tajemniczego przestrachu. Zamrużył więc oczy i postanowił nie opierać się dłużej czarownemu popędowi. Zręcznie unikając wzroku domowników, dzień pędził na ulubionej rozrywce, na polowaniu; wieczorem, chronił się niby samotnie w swojm pokoju i wtedy, albo skrycie wymykał bocznemi drzwiami i dążył w najdzikszę ustronia ogrodu, gdzie był pewien znaleźć Nastusię, lub cichaczem otwierał też same drzwi i wpuszczał białe zjawisko do siebie.

Nastusia witała go zawsze ze spokojnym uśmiechem, i dotąd nigdy jeszcze nie pożegnała ze łzami.

Wilczek sam siebie nie pojmował. On, który po zagranicy, starszych wiekiem często zadziwiał obojętnością, z jaką roztrącał wszelkie tamy swoim popędom, teraz drżał uroczyście na widok chłopskiej dziewczyny. Snać nie ścierał się dotąd z tylu czystemi żywioły; na przytłumienie tak świętego płomienia, pierwszy raz ściągał bluźnierczą dłoń.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* — **MAGAZYN „METROPOL"** — **Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo** *Jerozolimska 72* 766—50-42

TOWARZYSTWO AKCYJNE

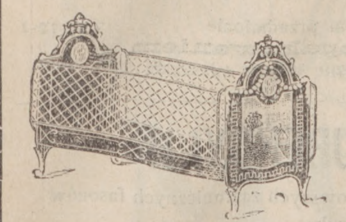
WŁ. GOSTYŃSKI I S-KA

Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Rożdiestwienka, dom Tretjakowych.





POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna. drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 901—25—3

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania

ZĘBÓW SZTUCZNYCH

od 1 do 10 rub. za sztukę

818-52-20 **przyjęcie od 9 do 6:**

Chmielna N-r 16. m. 4.

ZAKŁAD OGRODNICZY

Zygmunta Pełczyńskiego

w Warszawie, ul. Senatorska № 12.

były pałac Blanka

Ogród ulica Szczęśliwa №. 6.

Przyjmuje wszelkie zlecenia w zakres ogrodnictwa wchodzące, a mianowicie: **Kosze, Bukiety, Wieńce, Żardynierki, Gierlandy, Dekoracje w domach i kościołach,** i t. p. 915-12-1

Ceny przystępne.

SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Sosnowicach

przy ul. Modrzejewskiej

917-2-1

w domu **H. Pachtera.**

SPECYALNY ZAKŁAD

Reparacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-30

LIST OTWARTY

do P. Plato v. Reussnera,

Długo ociągałem się z nabyciem Pańskiego **„Samouczka"** Francuskiego z przyczyny jego nieco niby pozornie wysokiej ceny, stosunkowo do moich szczupłych funduszów. Nareszcie zachęcony pochwałami moich przyjaciół i znajomych, odważyłem się nabyć 47 zeszytów tegoż **„Samouczka"** przy pomocy którego zrobiłem w krótkim czasie wielkie postępy w znajomości języka francuskiego bez żadnego wysiłku umysłowego i przekonałem się, że każdy zeszyt **„Samouczka"** ma wartość nie kop. 15, ale co najmiej 15 rubli, bo oszczędziłem kilkadziesiąt rubli na pomoc nauczycielską. Dziękuję Panu za mozolne opracowanie tak pożytecznego dzieła, które polecam każdemu, kto nie posiada środków, lub wcale nie może korzystać z pomocy nauczyciela.

WINCENTY SZKUTNIK.

Będzin, gub. Piotrkowska.

Dnia 4-go stycznia 1898 r. 918 2-1

SKŁAD

SZKŁA, KRYSZTAŁÓW, PORCELANY, FAJANSU, MAJOLIKI,

oraz 585—25-23

własna malarnia na porcelanie

T. Z. OSIŃSKIEGO

Warszawa, Marszałkowska № 142.

WYBÓR WIELKI. CENY NIZKIE.

ZAKŁAD TAPICERSKI

A. TELATYCKIEGO,

Hoża № 20, 816—25—12

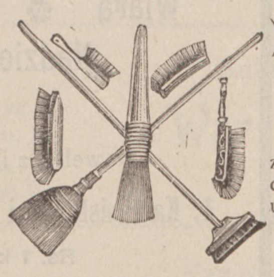
Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specjalności.

MAGAZYN

Obuwia Damskiego i Dziecinnego

W. GARNUSZEWSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 5. 911-25-1



FABRYKA SZCZOTEK I PĘDZLI

ALEKSANDRA FEIST

w Warszawie, Senatorska 24,

zwraca uwagę na dogodny sposób przesyłania towaru przez zaliczenie pocztowe lub kolejowe. Najmniejsza ilość towarów dla użytku domowego, toaletowego lub zakładów fabrycznych przesłaną być może. 844-12-8

Fabryka konkuruje nie ceną lecz dobrocią towaru.

Używajcie wszyscy Kakao Fruzińskiego.

Kakao Fruzińskiego uznane przez licznych odbiorców za najlepsze w smaku, oraz analizowane przez powagi lekarskie. Nie ustępuje w niczem najlepszym markom zagranicznym, a o połowę tańsze.

897—8—4

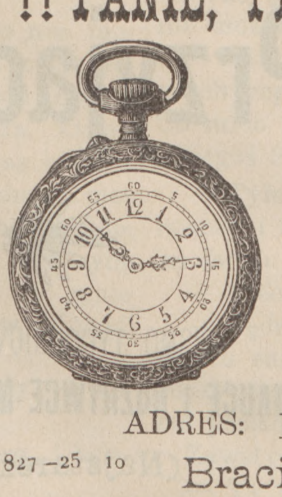
Parowa Fabryka Kakao, Czekolady i Cukrów Deserowych

J. Fruzińskiego

Warszawa, Marszałkowska 133. Filia Senatorska 6.

oraz we wszystkich pierwszorzędnych handlach w Warszawie i na prowincyi.

!! TANIE, PRAKTYCZNE I KORZYSTNE !!



Ozdobne i trwałe kieszonkowe zegarki męzkie, odkryte, remontuar, t. j. nakręcane bez klucza, ze szkłem ochraniającym od kurzu, trwałym mechanizmem, grubo złocone, niczem nie różniące się od prawdziwych złotych, **z ozdobnym łańcuszkiem** z nowego złota amerykańskiego

TYLKO za 5 rubli.

Gwarancya piśmienna na 6 lat.

Zegarki, dokładnie wyregulowane, wysyłamy po otrzymaniu 1 rs. zadatku.

ADRES: **FIRMA HANDLOWA**

827—25 10 Braci WARKOWICKICH

Skład genewskich i francuskich zegarów w Warszawie, Królewska № 29.

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

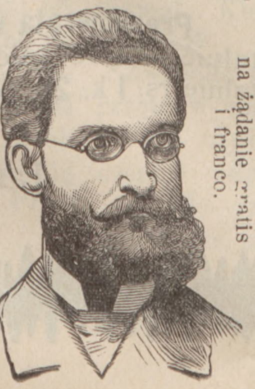
ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

MAURYCEGO ERLICH 899—24—3

ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Warecka 10.**

Przygotowanie i sprzedaż dozwolone na ogólnych zasadach handlu.

Sposób użycia załączam przy flakonach i wysyłam



na żądanie gratis i franco.

815—13—6

CAPILLIFER

ŚRODEK

wzmacniający cebulki włosów niszczący łupież i mikroby, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. 1 kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rubli. **Mydła specyalne do włosów po 20, 30 i 40 kop. sz.** Pozwolenie Urzędu Lekarskiego za Nr. 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż u wynalazcy

T. L. GRABOWSKIEGO

Aleja Jerozolimska Nr. 70.

Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.

Lodownie pokojowe, Kuchenki naftowe i inne, Łóżka, Wanny, Wagi, Naczynia kuchenne.

J. Zabokrzecki i S-ka

Senatorska №. 12

891—6—6 (obok Ratusza).

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

w WARSZAWIE. 812-50-22

Maszynki do mięsa bez noży
Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni
Maszynki do zszywania próbek
Rowery damskie 898-15-4

polecają:

JULJUSZ HEGNER i S-ka

WARSZAWA

Plac Ś-go Aleksandra № 8.

POŃCZOCHY w wielkim wyborze damskie, dziecinne z dubeltowemi kolankami i skarpetki trwałe, niewypierające się i dobrym fasonem poleca:

K. FIJAŁKOWSKA

10. Maryańska 10.

Kupującym tuzin chociażby różnych gatunków rabat. 823—12—10

W. KONOPACKA,

Nowogrodzka Nr 9, I piętro.

Pracownia sukien i okryć wykonywa obstalunki z własnych jak i z powierzonych materyałów, wykwintnie po cenach przystępnych, według ostatnich wzorów 766-25-22

Egzystująca od roku 1879

FABRYKA NOŻOWNICZA

i Wyrobów Stalowych

KAROLA KALINOWSKIEGO,

dawniej **Przewoskiego.**

Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—**Fabryka: Marszałkowska 13, sklep: Rymarska 20.** 774-25-16

SPECYALNY SKŁAD

Podszewek oraz wszelkich przyborów dla pp. Magazynierek 859—20—7

TOWARY NORYMBERSKIE

Antonina Plichta

Ś-to Krzyzka № 8.

CENY NAJNIŻSZE.

„GABRYELA"

Magazyn kapeluszy damskich i dziecinnych,

Pracownia sukien

I NAUKA KROJU

oraz NAUKA STROJÓW.

Chmielna N-r 19, mieszkania 10.

814—25—11

Saska Manufaktura Maszyn do szycia ulepszonego systemu Singera, Żórawia Nr. 33 (drugi dom od Marszałkowskiej). Na raty tygodniowe od rs. 1, oraz wszelkie reparacye.

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.
697—25—23

Zaprawy do podłóg, Farby, Lakiery
poleca **HENRYK OSIŃSKI**
Miodowa 12, wprost Sądu Okręgowego, w Warszawie. 690-25-23

Nowo-otworzony
MAGAZYN MÓD
KAZIMIERY
ulica Świętokrzyzka Nr 32,
828—26—10 w Warszawie.
CENY PRZYSTĘPNE.

ZAKŁD GALWANICZNY
JANA ZABOKLICKIEGO
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"
Senatorska 18,
(dom pp. Kanoniczek).
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—3

Zakład Ogrodniczy
W. Urbańskiego
b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye.
Ceny przystępne. 912—12—2

Wincenty Węgierski
Freta Nr. 13
Długoletni współpracownik firmy
854-26-8 **B. HERSE**
otworzył pracownię
Sukien i Okryć damskich

KAKAO, CZEKOLADĘ,
CUKRY
DESEROWE,
CZEKOLADKI
poleca
883-25-7
W. TRUSZKOWSKI
FABRYKA Krak.-Przed. 17

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—3
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—2
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-2

NOWO OTWORZONY MAGAZYN MEBLI
F. OLSZEWSKIEGO
w Warszawie, Królewska № 9, parter wejście z bramy 5 dom od Krak. Przedm
POLECA:
Meble stolarskie solidnej roboty z gwarancyą piśmienną dwuletnią za pęknięcie.
Meble tapicerskie, bambusowe, **Dywany, Portjery, Serwety, Materace, Łóżka** żelazne **Wózki, Wanny** etc.
Ceny **nizkie** stałe oznaczone na każdym przedmiocie 921-12-1
Ekspedycya na prowincyę z opakowaniem.
Magazyn przyjmuje zamówienia na kompletne urządzenie całych mieszkań.



!! BEZ KONKURENCYI !!
Wózki dziecinne i Welocypedy najnowszych zagranicznych fasonów
poleca fabryka
I. SŁOBODSKIEGO
872—10—10 Długa Nr. 30 Warszawa.

GAMASTON
Wiara ✽
Nadzieja ✽
Miłość ✽
Nowelle, z illustracyami
A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.
Rs. 1 kop. 50.
Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi
„Tygodnika Mód i Powieści."

Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709-25-23
Maryi RYGIER
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

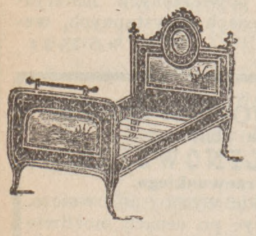
Przyjaciel Dzieci
PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE
NAUCE i ROZRYWCE MŁODZIEŻY POŚWIĘCONE.
(Najstarsze w kraju).
W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

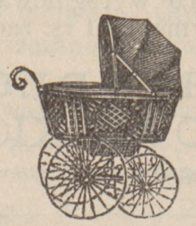
Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. **1**, rocznie rs. **4.** Na prowincyi kwartalnie rs. **1** k. **25**, rocznie rs. **5.**

REDAKTOR i WYDAWCA
Jan Skiwski
Warszawa, Chmielna 26.

: OSZCZĘDNOŚĆ :
Nowo otworzona Fabryka Chemiczna
KROCHMALU I PUDRU
SOBOLEWSKI i S-ka
Grochowska 57, w Warszawie,
ma zaszczyt powiadomić Sz. Publikę, iż wypuszczono w handel krochmal pszenny, wyrabiany chemicznie, który ma tę wyższość nad innem, bo użyty jako zwyczajny nadaje bieliznie śnieżnej białości, sztywności, elastyczności i chroni ją od pękania; pod żelazkiem nie waży się i swobodnie daje się bielizna prasować, a to skutkiem zupełnego wydzielenia glutenu czyli kleju, który żółci bieliznę i pozostawia na niej smugi, przez utrzymanie mu znacznej zawartości gumy i czystego krochmalu używa się go znacznie mniej, — użyty na surowo, zastępuje w zupełności ryżowy. Wygląd jego matowy, cena zwyczajna, dostać można w sklepach mydlarskich i na miejscu w fabryce. 892—6—3



116. MARSZAŁKOWSKA 116.
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
SKŁAD FABRYCZNY
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie.
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 23
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



SKŁAD MATERYAŁÓW APTECZNYCH
PROWIZORA FARMACYI B. HEIMANA
Nowo-Senatorska 8, obok Placu Teatru — poleca
REICHENAUER SALZBRUNNEN
Wodę przedstawiającą **orzeźwiający stołowy napój,** przewyższający wody Giesshübler i inne.
Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.
Skład główny na miejscu. 876-12-9

Najtańsza, najłatwiejsza i najprędsza w świecie nauka kroju
Sukien, Okryć damskich i dziecinnych, bez rysowania form, systemem Kazimierza Lewańskiego, za cały aparat, rozsuwany na wszystkie figury, począwszy od dziecinnej, aż do najotylszej, wraz z objaśnieniami, płaci się **tylko rs. 5.** Do każdej miejscowości Królestwa wysyła się nauczyciela, lecz nie inaczej, jak do czterech osób, za opłatą **tylko rs. 6.** Jedna osoba może być informowana za pomocą korespondencyj. Osobom nieczasowym udziela się wskazówek wieczorami.—Tamże wykonywają się Okrycia damskie przez specyalistów wykwalifikowanych za granicą. **Królewska 17.**
834—12-11